

Henryk Mierzecki

Czasy i klimaty : wspomnienia lekarza 1891-1970

Niepodległość i Pamięć 13/3 (24), 268-297

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Mierzecki

CZASY I KLIMATY

Wspomnienia lekarza

1891-1970

Rozdział II

Uniwersytet i wojna

Wydział lekarski stał we Lwowie na bardzo wysokim poziomie. Należał do najlepiej zorganizowanych i pod względem naukowym i dydaktycznym. Był też jedną z najdoskonalszych uczelni lekarskich w dawnej monarchii austro-węgierskiej. Poziomem naukowym dorównywał wydziałowi lekarskiemu Uniwersytetu Jagiellońskiego, skąd też wywodziła się większość profesorów.

Było wśród nich wielu wybitnych uczonych, ale i wielu oryginałów. Profesorem anatomii był Henryk Kadyi, uczeń Ludwika Teichmana z Uniwersytetu Jagiellońskiego odkrywcy kryształów heminy, światowej sławy badacza układu chłonnego. Profesor Kadyi o długich bokobrodach i w binoklach na sznurkach przyjeżdżał do zakładu na rowerze niezależnie od pogody, a podczas deszczu z rozpiętym parasolem. Zginął w tragiczny sposób balsamując zwłoki marszałka Badeniego. Skaleczył się, uległ przy tym zakażeniu i zmarł. Był to czas kiedy nie znano jeszcze działania leczniczego antybiotyków ani sulfamidów, którymi można było opanować zakażenie bakteryjne.

Z innych zasługuje na uwagę profesor histologii Władysław Szymonowicz, wytworny i elegancki pan, który bardzo niechętnie wykladał. Napisał natomiast obszerny podręcznik histologii, który przetłumaczony na język niemiecki używany był powszechnie przez studentów uniwersytetów niemieckich. Jego prace często były cytowane w fachowym piśmiennictwie niemieckim. Szymonowicz miał zwyczaj rozpoczynania wykładów dopiero we wtorek. Planując tygodniowy rozkład zajęć wyjaśniał, że w środę będzie zajęty, czwartek nie nadaje się do wygłaszania wykładu, w piątek to już czuje, że będzie miał zapalenie gardła, w sobotę według zwyczaju akademickiego oczywiście wykladać nie będzie. W praktyce więc histologię poznawaliśmy głównie ze znakomitego podręcznika

profesora. Ułomny profesor fizyki Zakrzewski pięknie wykladał swój przedmiot, ale egzaminując zadawał podchwytliwe pytania. Znakomity popularyzator wiedzy Józef Nusbaum-Hilarowicz z dużym zapałem wykladał rolę Darwina w ówczesnej biologii. Był to okres, w którym kler katolicki zwalczał teorię Darwina. W niemiłej pamięci pozostał mi stosunek Nusbauma do jego poprzednika na katedrze prof. Benedykta Dybowskiego, wybitnego i zasłużonego przyrodnika, członka Rządu Narodowego w Powstaniu Styczniowym i wieloletniego sybiraka. Gdy Dybowski przeszedł na emeryturę Nusbaum nie zezwolił mu na dalsze prowadzenie badań w katedrze i w stworzonym przez niego muzeum.

Wydział lekarski wchodził w tym czasie w skład Uniwersytetu, co umożliwiała mi uczęszczanie na wykłady i ćwiczenia prowadzone na innych wydziałach. Chodziłem więc m.in. na słynne wykłady Szymona Askenazego o dziejach Polski porozbiorowej i na wykłady pedagogiki prowadzone przez profesora Mańkowskiego. Na jego seminarium otrzymałem nagrodę za pracę pedagogiczną. Między wydziałami istniała wówczas ścisła więź i współpraca. Lwowski wydział lekarski kształcił lekarzy-humanistów o szerokich horyzontach myślowych. Było to możliwe dzięki temu, że wydziały lekarskie były częścią składową Uniwersytetów a nie uczelniami typu zawodowego jak dzisiejsza Akademia Medyczna.

Fizjologię wykladał i ćwiczenia prowadził bardzo interesująco profesor Adolf Beck. Był on uczniem i asystentem fizjologa polskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim Napoleona Cybulskiego, odkrywcy adrenaliny i jednego z twórców elektrofizjologii mózgu.

Podczas pierwszego rygorozum wstępne przedmioty zdałem z postępowaniem (przyroda i fizyka). Dalsze przedmioty zdawałem z mniejszym powodzeniem, nie bardzo miałem ochotę na przygotowywanie się do egzaminów, tym bardziej, że w międzyczasie zaręczyłem się i nie egzaminy były mi w głowie. Miałem zdawać fizjologię u prof. Becka, który żył w dużej przyjaźni z moim przyszłym teściem i często w niedzielę przychodził do niego na karty. Byłem przekonany, że zdam ten przedmiot z postępowaniem celującym, tym bardziej, że wszystkie ćwiczenia odbyłem solidnie. Stało się inaczej. Profesor odesłał mnie z egzaminu na tydzień, ale i ten egzamin wypadł ujemnie. Po 2 tygodniach jednak uznał moje odpowiedzi za dostateczne ale wobec wszystkich słuchaczy powiedział: – „Przychodzą studenci, którzy uczą się do egzaminu, a nie uczą się w ogóle medycyny”. I jako przykład podał mnie, który pierwsze przedmioty zdałem z postępowaniem celującym i dlatego mimo moich słabych odpowiedzi, nie ściał mnie przy egzaminie. Tej samej niedzieli przyszedł prof. Beck jak zwykle na karty do mego przyszłego teścia. Spotkałem tam profesora i powiedziałem „Magnificencjo” – prof. Beck był wówczas rektorem – „muszę sprostować Pańską wypowiedź na wykładzie. Nie byłem przygotowany do egzaminu z fizjologii, przyznaję, co innego było mi wówczas w głowie. Zaręczyłem się”. Na to Beck rzekł z humorem: „Niechże pan uważa, aby się pan przy dalszych rygorozach przypadkiem nie ożenił”. Powiedział słusznie. Dalsze rygorozę z patologii ogólnej zdawałem już jako żonaty. Właś-

nie wówczas profesor tego przedmiotu Prus został zdjęty z katedry z powodu pobierania ubocznego wynagrodzenia za fałszywe orzeczenia o stanie zdrowia skierowanych do niego żołnierzy walczących w armii Jego Cesarskiej Mości Franciszka Józefa.

Na wyższych latach studiów miałem zarówno w zakresie teorii jak i kliniki wybitnych profesorów. I tak profesorem anatomii patologicznej był Dmochowski, o bardzo pięknej twarzy i pięknej grzywie. Portret Profesora w wykonaniu Lentza wisi obecnie w salach Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego. Farmakologii uczył mnie prof. Popielski, były asystent wielkiego Pawłowa, odkrywca działalności histaminy w żołądku. Lwowski wydział lekarski miał dobrych klinicystów: internista Antoni Gluziński, na wykładzie omawiał szczegółowo chorych *moribundae* i zapowiadał, że sekcja odbędzie się prawdopodobnie za kilka dni, na którą zaprasza wszystkich studentów. Rzeczywiście po kilku dniach sekcja odbywała się. Przeprowadzali ją zwykle wybitni anatomowie, profesorowie Józef Hornowski i Witold Nowicki. Gluziński odczytywał publicznie najpierw swoje szczegółowe rozpoznanie kliniczne, a jeżeli było ono błędne, przyznawał się do omyłki i uzasadniał nową diagnozę anatomo-patologiczną.

Katedrę higieny prowadził Czech Paweł Kučera, późniejszy Minister Zdrowia w Pradze i profesor tamtejszego Uniwersytetu. Wśród klinicystów zasługuje na uwagę profesor dermatologii Włodzimierz Łukasiewicz, późniejszy mój nauczyciel, który porzucił katedrę zwyczajną w Innsbrucku (Austria) i przeniósł się na polski uniwersytet do Lwowa. Był twórcą katedry dermatologii i wenerologii na uniwersytecie lwowskim. Ludwik Rydygier, uprzednio profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, był jednym z najwybitniejszych chirurgów w skali światowej. W 1882 roku dokonał pierwszej resekcji żołądka z powodu raka. Jako dydaktyk i egzaminator nie był jednak lubiany przez młodzież. Słynna była, znana mi z opowiadań, sprawa egzaminu Kazimiery Ruppertowej najstarszej córki krakowskiego profesora bakteriologii Odonu Bujwida. W owym czasie egzaminy odbywały się publicznie wobec ogółu słuchaczy. Rydygier, był wprawdzie łasy na płęć piękną, ale nie znosił kobiet na studiach medycznych. Rozpoczynając egzamin zwrócił się do Ruppertowej słowami: „Oto zgłasza się do mnie córka profesora Bujwida i myśli, że jako córka profesora zda u mnie egzamin. Przedtem tu mi włosy na dłoni wyrosną zanim kobieta zda u mnie egzamin z chirurgii”. A Ruppertowa, bardzo przystojna i bardzo rezolutna odpowiedziała: „Panie Hofracie” – a biada komuś, kto by go nie tytułował tym Hofratem, którym zresztą każdy profesor zostawał po pewnym czasie. – „Włosy na dłoni wprawdzie Panu Profesorowi nie wyrosną, ale zapewniam Pana, że córka Bujwida zda egzamin, bo jest przygotowana z chirurgii”. Egzaminował ją długo. Po godzinie Ruppertowa wstała i oświadczyła, że ma małe dziecko, że zbliża się czas karmienia i wobec tego musi pójść do domu. Oczywiście pełno było śmiechu w sali. Ruppertowa wyszła i dopiero następnego dnia zdała egzamin.

Rydygier był odznaczony przez papieża orderem Św. Grzegorza. Odznaczeniem tym bardzo się chlubił i zawsze fotografował wraz z orderem. Prócz naukowych miał także Rydygier ambicje polityczne. W 1913 r. kandydował do galicyjskiego Sejmu Krajowego jako chrześcijański demokrat.

Polityczne życie akademickie na medycynie lwowskiej koncentrowało się w endeckim Kole Medyków i lewicowej Bibliotece Słuchaczy Medycyny. Organizacją ogólnouniwersytecką była Bratnia Pomoc. Jej przewodniczącym za moich czasów był student V roku medycyny i ówczesnie już działacz Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Franciszek Dorosz, kontrkandydat Rydygiera do Sejmu. Rydygier zamierzał wygrać wybory przy pomocy Związku Dozorców. Na nich więc liczył urządzając wiece przedwyborcze. Na wiece te przyjeżdżał Rydygier pięknym samochodem, co wówczas było ewenementem i zamierzał wygłaszać do dozorców mowę wyborczą. Dozorcy otrzymywali odpowiednie honoraria za obecność na wiecu, po 10 koron (równowartość 5-ciu dolarów) od osoby, za głosowanie na Rydygiera. Na wiece te przychodził z tramwajarzami Franek Dorosz i rozbijał wiec Rydygierowi. Obaj jednak przepadli w wyborach. Ciekawe dla nas było, jak będzie wyglądał egzamin Dorosza. Kiedy miał zdawać egzamin z chirurgii, sala była zapełniona, zwłaszcza, że zwykle na egzaminach i tak sala była pełna, jednak Rydygier tym razem nie robił trudności.

Na wykładzie anatomii patologicznej prowadzonym przez profesora Dmochowskiego endecy, skoncentrowani w Kole Medyków zajmowali miejsca po prawej stronie sali, a nacjonaliści żydowscy, należący do Żydowskiego Towarzystwa Medyków po lewej. Studenci zrzeszeni w Bibliotece Słuchaczy Medycyny skupiającej lewicujących Polaków, Ukraińców i Polaków pochodzenia żydowskiego zajmowali miejsca środkowe. Profesor zachowywał w tej sprawie stanowisko neutralne.

W Żydowskim Towarzystwie Medyków odbywały się rozmaite wykłady. M.in. poproszono i mnie o wygłoszenie wykładu. Nie odmówiłem. Wygłosiłem wykład z zakresu antropologii pt. „Pochodzenie Żydów polskich”. Hipoteza moja była następująca: Nie tylko Kazimierz Wielki miał swoją Esterkę. Szlachta polska, która miała swoich kramarzy i „pachciarzy” żydowskich, miała też i swoje Esterki. Dlatego Żydzi, których spotykamy w Polsce nie mają prawdziwego typu semickiego. Opowiadałem o moich badaniach antropologicznych przeprowadzonych jeszcze w gimnazjum. Mówiłem, że Polska była terenem wojennym i oprócz zamieszkałych tu Polaków i Ormian przebywali w Polsce Turcy, Tatarzy i szereg rozmaitych narodów. Wspomniałem o Chazarach, ludzie pochodzenia tureckiego, początkowo koczowniczym, potem osiadłym. W III w. n.e. Chazarowie stworzyli potężne państwo, które przyjęło judaizm. Zostało ono pokonane i rozbite w IX w. przez Światosława. Nie ulega więc wątpliwości, że wśród Turków, którzy przybyli na teren Polski byli także i Chazarowie. Wystąpiłem w ten sposób przeciwko nacjonalistom żydowskim, rasistom, twierdząc, że Żydzi polscy nie stanowią rasowo jednolitego społeczeństwa.

Wszystkie moje wakacje akademickie spędzałem w Tatrach. Zakopane owych czasów było prawdziwą stolicą Polski, w której gromadziła się intelektualna młodzież nie tylko z Galicji, ale i z Królestwa. Na Krupówkach, czy też w restauracjach jak u Karpowicza czy Płonki widywało się wybitne postacie ze świata nauki i literatury wszystkich zaborów. Młodzież za nieliczne grosze mieszkała w schroniskach Zakopanego i gór tatrzańskich, a obiady konsumowało się za 30 groszy u siostrzyczek Świętej Zyty. Na smaczne ciastka wybieraliśmy się do Kuźnic, gdzie usługiwały przystojne i schludne dziewczęta ze szkoły gospodarstwa założonej przez hr. Zamoyską.

W 1914 r. skończyłem 3-ci rok studiów zdając wszystkie obowiązkowe egzaminy i jak zwykle wybierałem się do Zakopanego. Rok akademicki kończył się wówczas w lipcu. Nie zdążyłem wyjechać. Zamordowano w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, a niedługo potem wybuchła wojna. Przypominam sobie rozmowę, którą przeprowadziłem z moim przyszłym teściem (Felsztynem), dyrektorem banku, człowiekiem politycznie bardzo wyrobionym. Ja, młody smarkacz oświadczyłem na początku zawieruchy wojennej, że wiadomo tylko jak się wojna zaczyna, niewiadomo nigdy jak się skończy. Teść mój oponował i powiedział, że jest innego zdania, jeśli mądrzy ludzie we Wiedniu wojnę wypowiedzieli, to wiadomo już z góry jak ta wojna się skończy. Niestety, ci mądrzy ludzie nie przewidzieli klęski Habsburgów.

Nastąpiła ogólna mobilizacja, zostałem powołany pod broń. Pierwsze ćwiczenia odbywaliśmy w szkole im. Mickiewicza. Był to batalion 19 pułku obrony narodowej. Byli tam sami moi koledzy – studenci, wchodziliśmy w skład batalionu ćwiczebnego – zapasowego. Ciekawe było już wówczas podejście do nas rządu austriackiego. Ćwiczenia odbywały się właściwie po polsku, wracaliśmy z tzw. Kaiserwaldu za Wysokim Zamkiem, gdzie odbywały się ćwiczenia i po drodze śpiewaliśmy pieśni wojenne, ale po polsku i polskie jak np. „Może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów”, „Warszawiankę”, oraz inne. W trzy czy cztery dni po zmobilizowaniu, w nocy, nagle zostaliśmy zaalarmowani. Każdy z nas otrzymał karabin i ostre naboje, bez względu czy kto umiał, czy nie umiał strzelać, zaprowadzili nas do koszar 19 pułku obrony narodowej (koło cmentarza Łyczakowskiego). Okazało się, że patrol kozacki przerwał się przez linie obronne w okolicy Pohulanki, a zatem niedaleko naszych koszar. Noc spędziliśmy na podwórku w pełnej gotowości bojowej i przypominam sobie, jak kolega mój Kazio Garfein podłożył mi zabłocony but pod głowę i ten but był moją poduszką. Na tym pierwsze spotkanie z wojskami rosyjskimi skończyło się. Ćwiczenia odbywały się w dalszym ciągu. Nagle nastąpiła ewakuacja Lwowa. W nocy załadowano nas do wagonów towarowych i wysłano w nieznane. W mieście odczuwało się nastroje wojenne wśród ludności cywilnej, która w popłochu opuszczała Lwów, udając się w kierunku Krakowa, Zakopanego, a przede wszystkim Wiednia. Osobiście odczuwałem nagłą ewakuację jako bardzo przykre wydarzenie. Nie mogłem się bowiem pożegnać ani z rodzicami, ani z narzeczoną, gdyż narzeczona moja wyjechała razem ze swymi rodzicami do Zakopanego. Narzeczona i jej rodzice zatrzyma-

li się w Krakowie, korzystając z gościny powinowatego prof. Władysława Konopczyńskiego. Kraków był przepełniony tzw. uciekinierami z Małopolski wschodniej, głównie ze Lwowa. Odważni mieszkańcy Lwowa pozostali w mieście, niektórych z nich, jak prezydent Rutowski, prof. Beck i innych, wywoziły następnie wojska carskie w głąb Rosji. Kiedy w 1915 r. wojska carskie cofnęły się i opuściły Lwów pod naporem wojsk austriackich, wycofali się razem z nimi niektórzy mieszkańcy rodzinnego miasta.

Ewakuacja wojsk austriackich w 1914 r. była smutna. Po drodze spotykaliśmy rannych i chorych, niezaopatrzonych, leżących pokotem na peronach kolejowych, mijaliśmy pociągi sanitarne pełne rannych. Umieszczono nas na Spisz (miasto Menhard obok Iglo). Tam prowadziliśmy żywot raczej wczasowy, było to niedaleko Zakopanego, gdzie przebywała moja narzeczona i chciałem się tam przedostać. 1 listopada 1914 r. uzyskałem urlop i w mundurze szeregowca z odznaką Czerwonego Krzyża przedostałem się do Zakopanego, gdzie spędziłem kilka dni w roli bohatera austriackiego.

Ciekawe spotkanie miałem wówczas z moim kolegą Adamem Garfeinem byłym członkiem Drużyny Piłsudskiego (Strzelec), którego zobaczyłem w mundurze szeregowca austriackiego. Zdziwiony zapytałem go co to znaczy, że zamiast munduru legionowego nosi mundur austriacki. Na co usłyszałem w odpowiedzi, że wysocy dygnitarze austriaccy oświadczyli jego ojcu, Radcy Dworu Sądu Apelacyjnego, że Austria traktuje i będzie traktować legionistów po macoszemu i dlatego lepiej spełni swój polski obowiązek patriotyczny w armii austriackiej.

Spisz okazał się bardzo malowniczą krainą, zwłaszcza piękne były tam zachody słońca pod postacią tzw. Alpenglühn. Niedługo jednak pozostaliśmy wśród życzliwych nam i zamieszkujących Spisz Słowaków. W miarę posuwania się wojsk rosyjskich na teren monarchii, przeniesieni zostaliśmy do Styrii (do Hartbergu) i tam pozostaliśmy aż do wyruszenia na front. Styryjczycy odnosili się do nas bardzo przychylnie i życzliwie. Moja narzeczona z rodzicami przebywała wówczas w Wiedniu i marzeniem moim było przedostanie się tam na krótki czas. Okazja nadarzyła się. Zgłosił się jakiś sierżant z placu boju, odznaczony wielkim srebrnym medalem za waleczność, którego należało odstać do szpitala wiedeńskiego. Wobec tego przyszło zapytanie do batalionu zapasowego, kto może się podjąć tej eksportacji i kto zna Wiedeń. Zgłosiłem się oczywiście, mimo że Wiedeń znałem pobieżnie. Przyjechałem do miasta i w Komendzie pytałem o odpowiedni szpital. Skierowali mnie do szpitala rezerwowego nr II. Następnego dnia okazało się, że był to szpital weneryczny, a sierżant był ranny i nadawał się do szpitala chirurgicznego dokąd go przewieziono. Z narzeczoną i jej rodzicami widziałem się przed odejściem na front. Byłem już wówczas sierżantem. Muszę przy tej okazji wspomnieć o następującym zdarzeniu, które miało miejsce w czasie pobytu mojego w batalionie zapasowym. Zgłosił się do mnie stary człowiek, żołnierz z pospolitego ruszenia, z prośbą, ażeby uratować jego siostrzeńca, który choruje na padaczkę. Żołnierz wiedział, że byłem ulubieńcem lekarza pułkowego, wiedeńczyka Pinsa Wittelss,

od którego zależało odsyłanie chorych do szpitala. Zgłosiłem się w tej sprawie do lekarza pułkowego, zapewniłem go, że ten siostrzeniec naprawdę jest chory na padaczkę, że walczył już pod Przemysłem, można tedy wysłać go na jakiś czas na urlop. I tak się stało. W kilka dni potem zgłosił się do mnie ów żołnierz z pospolitego ruszenia, który w cywilu był starym subiektem w sklepie meblowym Czyża we Lwowie koło Domu Narodnego, i przyniósł mi złoty zegarek z dewizką. Zegarka tego nie przyjąłem i pouczyłem subiekta o groźnym niebezpieczeństwie – za przyjęcie łapówki grozi mu kula w łeb, bo wojna, to nie żarty. Ofiarodawca stwierdził, że jestem jeszcze bardzo młody i nic nie rozumiem. Okazało się, że siostrzeniec nie tylko nie był pod Przemysłem, ale wcale nie był chory na padaczkę, w dodatku wcale nie był jego siostrzeńcem. „Zarobiłem” – rzekł – i „chcę, żeby i Pan trochę zarobił”. Oczywiście zegarka nie przyjąłem i poleciłem staremu by zegarek temu „siostrzeńcowi” oddał. Do władzy w tej sprawie nie odniosłem się. Czy zegarek wrócił do tego pseudo-siostrzeńca nie wiem, bo nigdy już potem go nie spotkałem.

W Styrii brałem udział w pracy chirurgicznej w dobrze zorganizowanym szpitalu powiatowym. Towarzyszyłem lekarzowi powiatowemu w wycieczkach po pogórzcu styrejskim. A wieczory spędzaliśmy u życzliwej właścicielki restauracji p. Milch, która częstowała nas parówkami w sosie gulaszowym, na gulasz bowiem nie starczały nam pobory żołnierskie. Niedługi czas potem wezwał mnie lekarz pułkowy, który bardzo mnie lubił i cenił i oświadczył, że następna marszkompania wychodzi w pole, a on jej towarzyszy i bardzo chciałby mnie zabrać z sobą. Oczywiście nie mogłem odmówić. Nie była to z mojej strony dobra wola, ale wypełnienie rozkazu.

Wyjechaliśmy na front w połowie lutego 1915 r. Wyjeżdżaliśmy wagonami towarowymi. We wszystkich wagonach odbywali drogę na front moi koledzy, rówieśnicy, a intendentem tej kompanii był sierżant żywnościowy Ciechulski. Ojciec jego miał wspaniały sklep galanteryjny, była to stara mieszczkańska, lwowska rodzina. Ciechulski wciągnął mnie do wagonu intendentury i zaopatrzył w ciepłą odzież (futro, buty) i żywność (wspaniałe sery). Początkowo nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą, potem zorientowaliśmy się, że jedziemy w Karpaty. Wyjazd na front opisałem w korespondencji ogłoszonej w wiedeńskim polskim dzienniku, redagowanym przez lwowianina Jakóba Geszwinda. Wyjeżdżaliśmy w wesołym nastroju, zupełnie nie jak na front i wreszcie wysiedliśmy w Ławocznem pod tunelem, który przeszliśmy. Tunel przedstawiał się bardzo romantycznie, sople lodu zwisały z pował (był luty). Przeszedłszy tunel, znaleźliśmy się u stóp góry Tatarówka (około 1000 m n.p.m.). Tam zostaliśmy zaatakowani przez szrapnele rosyjskie, wtedy minął wesoły nastrój i cała kompania rozbiegła się po równinie, a obok na pagórku stał młody porucznik, który wołał, żeby nie iść w góry, bo czeka nas tam rzeź, wołał, że wojna jest niepotrzebna, że prowadzą ją generałowie, którzy siedzą na zapleczu i którym dobrze się powodzi. Komendant kompanii tłumaczył nam, że porucznik ten jest umysłowo chory i właśnie odprowadzają go do szpitala psychiatrycznego. Wyszliśmy wreszcie zboczami na Tatarówkę i tam ulokowaliśmy się powoli.

Komendantem kompanii i batalionu był wówczas lwowski podpułkownik Paulik, bardzo sympatyczny i wytworny pan, jego adiutantem był mój przyjaciel Władek Różycki, a lekarzem batalionu był lekarz pułkowy Wittels z Wiednia, z którym wyruszyłem na front. Pozostałem na Hilfsplatzu na tzw. punkcie opatrunkowym. Zaczęliśmy pracę od budowy bunkra dla chorych i rannych. Zastanawialiśmy się nad nazwą bunkra – byliśmy młodzi, nie pozbawieni humoru, dla nas nie był to jeszcze okres grozy wojennej. Ponieważ narzeczona Władka nazywała się Stefa, a moja Janka, nazwaliśmy bunkier „Stefjanka” i pod tą nazwą bunkier był ogólnie znany w batalionie. Spaliśmy tam na gołej, zlodowaciałej ziemi. Ledwie położyliśmy się, rozpoczęła się strzelanina. Był to nasz chrzest bojowy. Przywieziono nam pierwszych rannych i pierwszych poległych. Zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie. Na tej górze, wśród morderczej strzelaniny pozostaliśmy od lutego do maja 1915 r. Przyzwyczajaliśmy się do walki pozycyjnej, gdzie każdy głąz mógł być dla nas pewną osłoną. Otrzymałem pocztą połowę listy z Wiednia, w których narzeczona kreśliła mi swe kłopoty rodzinne. Odpowiedziałem, że we Wiedniu nie zdają sobie sprawy z grozy wojny.

Przed samym zejściem z gór, byłem świadkiem egzekucji młodego chłopaka, który zbiegł z rowów bojowych i ukrył się wśród taborów, za co został przez Sąd Polowy skazany na śmierć. Major, starszy oficer austriacki prowadzący egzekucję tak się nią przejął, że po egzekucji doznał ataku sercowego.

W maju 1915 r. zeszliliśmy z gór zadowoleni, że pozbyliśmy się mroźnych Karpat, nie zdając sobie sprawy z czekających nas walk na otwartym polu. Pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem nastąpiło pod Bolechowem. Po przełamaniu frontu (Austriacy wspólnie z Niemcami) maszerowaliśmy przez Kałusz i Dolinę w najlepszych humorach. W Bolechowie zamieszkałem u jakiegoś weterynarza i nareszcie po kilku miesiącach spałem w prawdziwym łóżku i na czystej pościeli. Ale nie na długo. Kilka kilometrów za Bolechowem doszło do spotkania z wojskami rosyjskimi. Bitwa na otwartym polu skończyła się krwawą rzezią wojsk austriackich. Punkt opatrunkowy umieścił lekarz pułkowy w chałupie tuż za postojem baterii artylerii. Sądził, że w ten sposób łatwiej uzyska medale bojowe, na które lekarz pułkowy był łasy. Ja jako najmłodszy urzędowałem w chałupie na zapiecku. W pewnym momencie szrapnele uderzyły w chałupę, przebiły dach i wszyscy obecni na placu opatrunkowym zginęli lub zostali ciężko ranni. Ja wyszedłem cało, uratował mnie duży piekarski piec ceglany. Wyszedłem z chałupy natychmiast gdy rozpoczęła się zwózka rannych, wśród straszliwych jęków i krzyków, domagających się natychmiastowej pomocy. Udzielenie pomocy natychmiastowej równocześnie wszystkim było niemożliwe wobec wielkiej ilości rannych. Wtedy poderwał się spośród rannych jakiś rumuński żołnierz z krzykiem, że zajmuję się kolegami, a nie udzielam jemu pomocy, mimo że jest najciężej ranny. Pouczyłem go, że powinien się zgłosić do batalionu rumuńskiego, a nie do mnie i wtedy zobaczyłem część tkanki mózgowej na płaszczu. Zbadałem go, czaszka była nieuszkodzona, a mózg pochodził zapewne od któregoś z jego rannych kolegów, towarzy-

szy broni. Obraz rannych działał na mnie psychicznie wybitnie szokująco. Lekarz pułkowy obserwując mój stan psychiczny wezwał mnie do siebie i oświadczył mi, że muszę odejść na jakiś czas do szpitala.

I tak zostałem wysłany bezpośrednio na zaplecze do Zakładu Sanitarnego Brygady, kilka kilometrów za frontem, za Bolechowem. Zakład Sanitarny, do którego mnie odkomenderowano nie był szpitalem, ale stacją przekaźnikową, to znaczy ranni i chorzy z pułków zostawali skierowywani do Zakładu, a Zakład następnie odsyłał do szpitali rezerwowych. W skład Zakładu Sanitarnego Brygady wchodził lekarze głównie pochodzenia niemieckiego, byli to tzw. „deutschnationale”, co odpowiadałoby naszym volksdeutschom. Niemcy nie przyjęli mnie z sympatią, zwłaszcza że na mundurze nosiłem stale polskiego orzełka NKN i akcentowałem moją polskość. Poza Zakładem Sanitarnym był tam jeszcze szpital rezerwowy ewakuacyjny. Była to stacja przekaźnikowa głównie chorób zakaźnych. Silne wrażenie zrobiła na mnie sala, gdzie na podłodze, w brudzie, leżało około 6, czy 7 nieopatrzonych rannych i chorych żołnierzy i oficerów z objawami tonicznych skurczów mięśni tęczowych, a wśród nich chodził lekarz sztabowy Ukrainiec, Kowszewycz, z przepasaną szablą, z którą się nie rozstawał także w czasie obchodu chorych.

Z Bolechowa przenosiliśmy się, w miarę posuwania się frontu, do sąsiednich miejscowości.

W pamięci utkwiał mi następny postój w Haliczu. Był letni wieczór, gdy przybiegła do zakładu zrozpaczona wieśniaczka, że mąż jej wśród uporczywych wymiotów nagle zachorował, prosiła usilnie, by któryś z lekarzy odwiedził chorego. Lekarze Zakładu obawiający się ustawicznie panujących na froncie chorób zakaźnych wśród mieszkańców przyfrontowych miejscowości, wydelegowali mnie jako autochtona, do stwierdzenia stanu zdrowia chorego. W opustoszałej izbie zastałem chorego wycieńczonego ustawicznymi wymiotami. Wróciłem do Zakładu i oświadczyłem im, że nie widziałem jeszcze chorego na cholere, ale mam wrażenie, że stwierdziłem typowy przypadek cholery. Rozpoznanie moje niestety sprawdziło się, chory zmarł. W sąsiedztwie naszym miały miejsce postoju tabory pułku węgierskiego. Żołnierze węgierscy dla zabawy urządzili sąd polowy nad jednym z mieszkańców miasteczka pod pozorem jego udziału we wrogiej sieci szpiegowskiej. „Sąd” skazał wieśniaka na śmierć i „egzekucja” miała się odbyć dnia następnego, wczesnym rankiem. I sąd i wyrok były oczywiście pozorne. Delikwenta zamknięto w stodole. Rano tabory węgierskie odjechały, zostawiając „skazanego” w zamkniętej stodole. Gdyśmy stodołę otworzyli, zastaliśmy biedaka, który przez tę noc całkowicie posiwiiał. Następnym miejscem postoju były Podhajce gdzie panowała epidemia tyfusu płamistego. Zorganizowano w tamtejszej szkole szpitalik tyfusu płamistego i to 3 km za linią bojową.

Personel był stale narażony na zakażenia. Niemieccy lekarze z obawy przed chorobą niechętnie leczyli chorych na tyfus płamisty, a mimo to ulegli zakażeniu i kilku z nich zmarło. Zwrócono się do mnie, jako młodego studenta o objęcie kierownictwa szpitala, bo jako autochton miałem być uodporniony na tyfus

plamisty. Objąłem z rozkazu dowódcy kierownictwo szpitala. Był to okres, gdy znana już była wprawdzie szczepionka Weigla, ale w wojsku nie była stosowana. W szpitaliku pełnił obowiązki salowego sierżant Węgier (Weiss), przekonany, że tyfus plamisty nie jest chorobą zakaźną, a najlepszym tego dowodem – twierdził, że śpi razem z chorymi obu płci i nie uległ zakażeniu. Każdy chory przed przyjęciem do szpitala był dokładnie odwszony i stąd pozbawiony nosicielei zarazków. Już bowiem wówczas znano odkrycie wybitnego bakteriologa z Tunisu Karola Nicolla, że wesz jest nosicielem zarazka chorobowego tyfusu plamistego. Chorych przed przyjęciem do szpitalika badałem sam dokładnie i uważałem, by zakażone wszy nie przedostały się do mnie. Okazało się jednak, że mimo dużej ostrożności stwierdziłem u siebie ślady pogryzień przez wszy pochodzące niewątpliwie od badanego zawszonego chorego. Nie bardzo miałem ochotę przebyć chorobę w szpitaliku frontowym, wyjechałem okres inkubacji i wystarałem się o urlop do Lwowa na okres, w którym spodziewałem się wystąpienia objawów. W dniu przypuszczalnego końca inkubacji wystąpiły u mnie już we Lwowie wszystkie objawy tyfusu plamistego (łącznie z gorączką), oczywiście poza osutką. Trwało to jednak zaledwie 24 godziny i objawy ustąpiły. Psychoza odegrała tu wybitną rolę.

Jak już wspominałem pobyt mój w Zakładzie Sanitarnym Brygady nie należał do przyjemnych, niemieccy lekarze byli wręcz wrogo nastawieni wobec mnie. Szefem sanitarnym korpusu był płk Rodziński, którego podwładni strasznie się obawiali, był to bowiem szef surowy, od którego zależały urlopy, medale i przeniesienia z zaplecza do pułku. Srogość szefa była niekiedy uzasadniona. I tak przypominam sobie jak zaszliśmy do miejscowości (nie przypominam sobie nazwy, była to pamiętam własność rodziny Marsów), gdzie stacjonował pułk węgierski. Chcieliśmy zająć chałupę na kwaterę, zauważyliśmy jednak napis „ostrożnie cholera”. Napisy takie umieszczali często żołnierze na kwaterach by je chronić przed zajęciem mieszkania. Zaglądnąłem przez okno, w oknie pojawił się wychudzony i schorowany żołnierz, który oświadczył mi, że stwierdzono u niego cholere. Lekarz podaje mu leki i posiłki przez okno i nikt go nie badał i nikt nie przychodził do niego, bo go się boją. Jest rzeczą jasną, że lekarz leczący znalazł się na indeksie Szefa sanitarnego Korpusu i nigdy w czasie wojny nie uzyskał urlopu.

Ale wracając do osoby Szefa sanitarnego Korpusu płk. Rodzińskiego. Rozeszła się wiadomość, że pułkownik przyjeżdża do nas z wizytacją. Personel Brygady oczekiwał w napięciu przybycia szefa, przypuszczano, że był donos na stosunki w Brygadzie i stąd zarządzona wizytacja szefa. Oczekiwałem w towarzystwie całego personelu Brygady przybycia srogiego szefa. Patrzę, szef przyjechał, ale w towarzystwie cywila na koniu, a tym cywilem był syn Szefa a mój bliski kolega i rówieśnik Artur (późniejszy znakomity dyrygent), rzucił mi się na szyję zaczął obejmować i serdecznie witał. Rozmowa między mną a szefem i Arturem toczyła się po polsku, czego oczywiście Niemcy nie rozumieli. Pułkownik Rodziński wytknął nam pewne niedociągnięcia. Po jego wyjeździe dowódca brygady dr Wonikowsky-Kundratitz wezwał mnie do sie-

bie, oświadczając, że obecnie rozumie istniejące donosy, jakobym był wtyczką pułkownika Rodzińskiego i starał się dowiedzieć co było treścią rozmowy z wizytującym szefem. Oświadczyłem, że była to rozmowa towarzyska, bo łączy mnie przyjaźń z jego synem, a to dowódcy nie obchodzi, z oficerami bowiem łączy mnie tylko stosunki służbowe. Rozmowa z pułkownikiem nie miała charakteru służbowego.

W 2-gim, albo 3-cim dniu po wizytacji zostałem nagle wezwany do szefa sanitarnego Korpusu płk. Rodzińskiego. Ten zwrócił się do mnie z pytaniem, jak się czuję w brygadzie, odpowiedziałem, że czuję się tak, jak może się czuć Polak wśród Niemców. Następnie zapytał, czy jeżeli dostanę pieniądze, czy sprawię sobie nowy mundur, oświadczyłem, że w razie potrzeby sprawię sobie. Dalsze pytania brzmiały, czy władam jakimś obcym językiem, oświadczyłem, że niemieckim władam bardzo biegle. Potem zapytał, czy jem kulturalnie i czy nie pcham noża do ust. Odparłem, że nie i to chyba z obawy bym się nie pokaleczył. Szef podziękował mi za przybycie i odkomenderował mnie do jednostki. Dwa, czy trzy dni po wizycie szefa zostałem rozkazem korpusu odkomenderowany do szóstej kompanii lotniczej w charakterze młodszego lekarza. Zgłosić się miałem uprzednio u szefa sanitarnego korpusu. Z całym moim bagażem zgłosiłem się u szefa z zapytaniem o moją funkcję w tejże kompanii. Szef mnie poinformował, że otrzymam pieniądze i mam sprawić sobie mundur, bym nie raził wyglądem innych oficerów kompanii. Mówić będę językiem urzędowym tj. niemieckim i będę kulturalnie jadł, tzn. nie będę noża pchał do jamy ustnej, a poza tym nie mam nic do roboty. Udałem się do kompanii, która mieściła się w lesie (posiadłość prof. Ziembickiego w okolicy Podhajec). Zostałem tam miłe i kulturalne towarzystwo w dobrze zagospodarowanych barakach. Wyżywienie było wspaniałe. Personel oficerski składał się z młodych oficerów pochodzących z bogatych, burżuazyjnych rodzin wiedeńskich i szlachty austriackiej. Przyjął mnie ówczesny dowódca kompanii rotmistrz Plener, syn znanego premiera węgierskiego, który poinformował mnie o niebezpieczeństwach lotnictwa bojowego. Zrozumiałem, że to była bufonada i po wytwornym obiedzie zwróciłem się do komendanta z prośbą o lot próbny – jako że mam pełnić obowiązki w kompanii – komendant zgodził się na lot, ale uprzedził mnie, że lot jest niebezpieczny. Wsadzili mnie do samolotu i po raz pierwszy w życiu wzniosłem się w niebiosa. Samoloty typu Brandenburg były bardzo prymitywne, prowadzone przez komendanta, który był równocześnie pilotem akrobatą, wyczyniał rozmaite loopingi, by mi odechciało się dalszych lotów, nie udało mu się to jednak. Po wylądowaniu pochwalił mnie za moje zachowanie w powietrzu. I tak zakończył się mój pierwszy lot. Czynności moje sanitarne zacząłem od budowy odwszalni, jako że w okolicy panował, jak wspominałem nagminnie tyfus plamisty. Przeprowadziłem odwszenie odzieży i zastanawiałem się nad moimi dalszymi czynnościami. Wybawił mnie z sytuacji komendant kompanii. Oświadczył, że ponieważ do Lwowa jest niedaleko, a mają samochody do dyspozycji, może zabawiłbym się w intendenta i wyjeżdżał po zakupy do Lwowa. Na co zgodziłem się chętnie. Podjąłem się

tej misji i początkowo wyjeżdżałem dwa razy w tygodniu do Lwowa, oczywiście niezależnie od moich czynności sanitarnych. Przyszło mi wówczas na myśl, że mając nie wysłuchane wszystkie obowiązkowe wykłady, a wyjeżdżając kilka razy tygodniowo do Lwowa, mógłbym odbyć obowiązkowe ćwiczenia i wysłuchać kursowe wykłady. Zgodził się na to mój komendant. Zgłosiłem się następnie do dziekana (chemik, prof. dr Bądyński), który początkowo niechętnie na moją propozycję się zgadzał, ale ostatecznie zgodził się. I w ten sposób wpisany zostałem na IV rok studiów. Dwóch profesorów, którzy na tym roku wykładali wspomniałem już, był to prof. interny Gluziński i prof. chirurgii Rydygier a także prof. ginekologii i położnictwa Mars. Tu chciałbym wspomnieć przede wszystkim osobę profesora położnictwa Marsa herbu Noga. Charakterystyczne było wnętrze jego domu (mieszkał przy ul. Akademickiej) pełne wersetów łacińskich, w którym się lubował (dom był jego własnością). Nie zapomnę nigdy początku jego wykładu: „Jeśli panowie odwiedzicie położnicę i usłyszycie pełno pochwał dla sumienności i genialności Marsa, nie wierzcie jej – nie była to zasługa Marsa, ale Boga, który tak chciał, ale jeżeli usłyszycie że Mars jest niedołęga i nie spełnił dobrze swych obowiązków to też nie wierzcie, Mars spełnił sumiennie swój obowiązek, ale Bóg nie dopomógł i stąd Mars nie pomógł”. Był to typ szlacheckiego ziemianina Podolaka, jakkolwiek pochodził z Krakowa. Trzeba pamiętać, że porody odbywały się wtedy w domach, izb porodowych nie było i dlatego wzywano położnika do domu. Pod tym względem była dość dziwna aseptyka, głównie u żydów ortodoksyjnych. Mianowicie nauczyciele prowadzili z rozmaitych szkół żydowskich, chederów, uczniów do położnicy, by wypędzali złe duchy. W ten sposób szerzyło się zakażenie. Frekwencję IV roku uzyskałem z końcem roku akademickiego po odbyciu wszystkich ćwiczeń i wpisałem się na V rok.

Personel lotniczy był bardzo interesujący i wspomnieć tylko chcę o dwóch oficerach. Pierwszy to był profesor dr Kafka, specjalista w psychologii zwierząt bezkręgowych. Mimo że był austriackim obywatelem, był profesorem monachijskim i razem z nim wykonywaliśmy niektóre doświadczenia psychologiczne. Pewnego razu sierżant wystarał się dla nas na obiad o grzyby jadalne. Były one dobrze przyprawione, bardzo nam smakowały, a w pewnym momencie wstał Kafka i oświadczył, że czuje się niewyraźnie i obawia się, że grzyby te były trujące i wobec tego opuścił jadalnię udając się do swego pokoju. W ślad za nim wyszli wszyscy biesiadnicy wśród podobnych objawów pseudochorobowych poza mną i komendantem. Ja natomiast połączyłem się w międzyczasie ze szpitalem polowym (co było uzgodnione z prof. Kafką) i zawiadomiłem szpital, że podobno kompania zatruta się grzybami i proszę o wysłanie lekarzy celem sondowania żołądków. Internistą polowym był doc. dr Paulicek z Wiednia, z którym umówiłem się, że to żart by nie przyjeżdżał na mój telefon z kompanii. W pewnym momencie komendant wstał i oświadczył, że jest też zatruty, kazał mi połączyć się ze szpitalem, aby natychmiast przyjechali sondować żołądki. Oczywiście połączyłem się z doc. Paulickiem, który żart zrozumiał i nie przyjechał. Wtedy wysłałem mojego ordynansa do prof.

Kafka, że doświadczenie się udało, kompania cała „choruje” i może wrócić do kasyna. Kafka wrócił, puściliśmy na gramofonie jakąś wesołą wiedeńską płytę. Wiadomość o naszym wesołym pobycie w kasynie wnet doszła do wiadomości naszych towarzyszy, którzy zaraz przybyli do kasyna udając, że od razu połapali się na kawale. Kafka był człowiekiem niezmiernie interesującym. Ożenił się mając 20 lat i był poliglotą, ale języków obcych używał tylko w czasie podniecenia alkoholowego. Drugim ciekawym typem był hrabia Sternberg, członek starego magnackiego rodu austriackiego. Z racji urodzenia członek Izby Panów, a działalność swoją w Izbie Panów ograniczał do krytyki starego pułkownika Jelacica, który uchodził w sferach magnaterii austriackiej za ojca Franciszka Józefa. Hrabia Sternberg miał po śmierci Franciszka Józefa objąć stanowisko marszałka dworu cesarza Karola. Jednak by móc objąć to stanowisko, musiał wykazać się medalem bojowym. Lotnicze odznaczenia bojowe otrzymywano po 10 lotach. Do kompanii przyjechał Sternberg ze swoim lokajem o arystokratycznym nazwisku de la Roca. Po powrocie ze swego 10-tego lotu obserwacyjnego przywitał go lokaj słowami: „Panie hrabio, ale lot 11 odbędzie się nie samolotem ale pociągiem do Wiednia”. Niedługo oczywiście przyszedł rozkaz z Ministerstwa Wojny przenoszący Sternberga do Wiednia. Sternberga pilotował stale komendant i wyszukiwano dla niego samoloty ze śladami kul, każdy taki lot był fotografowany i wysyłano zdjęcia do kancelarii cesarza Karola. Znany był kawał, którego byliśmy świadkami. W czasie postoju w okolicy Brzeżan w miejscowości Raj (posiadłość Potockich) obudziło nas w nocy pukanie do baraków – Sternberg, który nie znał dobrze alfabetu Morse’a mylnie to pukanie odczytał – „pocałujcie mnie gdzieś” – Byliśmy przekonani, że to kawał żołnierzy. Komendant wezwał kompanię do raportu i oświadczał, że jeżeli w nocy powtórzy się kawał, to będzie strzelał. Następnej nocy kawał się powtórzył, wobec czego Sternberg zapewnił nas, że to nie żołnierze, ale oficerowie są sprawcami tego kawału. Komendant wezwał do raportu oficerów i powtórzył groźbę strzelania. Ale to nie pomogło. W nocy ponownie kawał się powtórzył. Wobec czego cały sztab uzbrojony wybrał się celem ukarania złoczyńcy. Okazało się, że w dziupli drzewa (w lesie) był dzięcioł, który spokojnie wykuwał w swoim widocznie języku puste dźwięki, które Sternberg odczytał jako nieprzystojną propozycję.

Ciekawe było jak była poinformowana ludność o tym co dzieje się na froncie, zwłaszcza, jeżeli chodziło o ludność żydowską. Razu pewnego był rozkaz szefa sztabu, hrabiego Lamazena, żeby oficer kompanii lotniczej zgłosił się natychmiast po tajny rozkaz. Wydelegowali mnie. Hrabia dał mi ustny rozkaz, że będzie odwrót, opuścimy Podhajce, ale zwrócił uwagę, że ten rozkaz jest ściśle poufny i żeby nikt niezainteresowany o nim nie wiedział. Z chwilą jednak, gdy tylko opuściłem budynek sztabu, zauważyłem duży ruch w mieście, ludność sama się ewakuowała. Na zapytanie moje skąd ten ruch, oświadczyli mi Żydzi obarczeni tobołami, że będzie odwrót. Przybyłem do kompanii, zameldowałem się u komendanta, który natychmiast zarządził odprawę oficerów, podał im rozkaz hr. Lamazena do wiadomości z zastrzeżeniem, że rozkaz ten jest

ściśle poufny, a ja przy końcu odprawy dodałem: „Rozkaz jest oczywiście ściśle poufny, ale ludność głównie żydowska orientuje się w sytuacji i samodzielnie zarządziła ewakuację”.

Ciekawa była w tym czasie kurtuazja między lotnikami austriackimi a rosyjskimi. Najpewniejszym i najbezpieczniejszym miejscem było samo lotnisko, bo piloci nawzajem dbali o bezpieczeństwo lotnisk i ich personelu i nigdy lotnisk wzajemnie nie bombardowali. Gdy był wydany taki rozkaz, to bombardowano okoliczne wsie, ale nigdy lotniska. Gdy jednak zdarzyło się, że samolot nieprzyjacielski został strącony (walki między lotnikami należały do rzadkości, a samoloty strącała raczej artyleria przeciwlotnicza) wówczas kurtuazyjnie zawiadamiali się o przebiegu walki, a także o losie aeroplanów i lotników, a tuby metalowe z wiadomościami o aparatach i lotnikach zrzucano na teren nieprzyjacielskiego lotniska. Posiadałem takie dokumenty ze wszelkimi szczegółami, a nawet z fotografiami strąconych lotników, niestety przepadły w czasie II wojny światowej. Ja również wypisałem tego rodzaju dokumenty w języku ukraińskorosyjskim dla lotników rosyjskich.

Lotnicy kompanii często wyjeżdżali do Lwowa dla zabawy, a na rozkaz sztabu, że wszystkie samoloty mają wyruszyć w bój, a nie było na miejscu wszystkich oficerów, pakowano do samolotów jako obserwatorów podoficerów, a często i mnie, przy czym stale pilotował mnie komendant z obawy, aby przypadkiem nieprzyjaciele mnie nie strącili. Pilotami w zasadzie byli podoficerowie. Było tylko dwóch pilotów oficerów, a jednym z nich był właśnie komendant. W ten sposób miałem około 12 lotów bojowych. Kompania cała posiadała 6 samolotów na korpus. Bombardowało się wówczas ręcznie z samolotu, na pokładzie odsuwano zasłonięty otwór i rzucało się ręcznie bomby. Przypominam sobie, że brałem udział w bombardowaniu Brzeżan, lot odbywał się z Czortkowa, rzuciłem wszystkie bomby do stawu brzeżańskiego nie narażając zupełnie okolicy i jej ludności.

Wspominałem, że lotnicy prowadzili żywot wesoły i nie tylko wyjeżdżali do Lwowa na hulanki, ale sprowadzali sobie na pijatyki damy tzw. artystki ze Lwowa. Oficerowie często pijani wsiadali do samolotów i jak zapewniali – trzeźwieli w powietrzu. Dziewczęta podhajeckie czy brzeżańskie brały w tych zabawach udział, były one często lekkiego autoramentu. I tak przypominam sobie, gdy jeden z oficerów będąc w moim towarzystwie zaproponował idącym przed nami przystojnym dziewczętom spędzenie nocy w kompanii, oświadczyły, że nie zgodzą się na przespanie, ale zgwałcić się chętnie dadzą. Solą w oku był mój pobyt w kompanii niektórym oficerom i to przede wszystkim oficerowi-pilotowi deutschnationaler z arystokratycznego pułku dragonów ks. Schwarzenberga, a potem adiutantowi płk. R. Besarmenięgo. Kiedy płk Rodziński odwołany został do kraju skorzystał z tego Besarmenięgo, który postarał się o przeniesienie mnie z brygady do pułku (19 pp.obr.kraj.). Był to okres, kiedy przygotowywałem się do żeniaczki. Dla tych celów otrzymałem zgodnie z rozkazem krótkoterminowy urlop do Lwowa. Urlop ten przedłużyłem sobie. Besarmenięgo kontrolował mój pobyt we Lwowie, wysłał z korpusu

oficjalne pismo do komendy miasta, by przebadac przyczyny, dla których samowolnie przedluzylem urlop. Zostalem wezwany do komendy miasta, gdzie ku mojemu najwiekszemu zdumieniu przyjetý zostalem przez porucznika, naszego kuzyna, a mojego przyjaciela Adama Próchnika, który naturalnie potwierdzil koniecznosc mojego pobytu we Lwowie, przekraczajacy mój urlop. Po slubie wyjechallem do Wiednia, gdzie postanowilem wykorzystac dla mnie dogodna sytuacje. Zwróciłem się do raportu do samego Ministra Obrony Narodowej, któremu wytłumaczyłem, że mam pełne uprawnienia (ukończony IV rok studiów i część V roku) przedostania się do uniwersyteckiego miasta celem zdania końcowych egzaminów. W korpusie jest lekarz niezycziwy mi i jeżeli rozkaz taki nie przyjdzie wprost z Ministerstwa nigdy studiów nie ukończę a armia będzie uboższa o jednego lekarza. Wróciłem do pułku, gdzie niezadowolony Besarmenyi twierdził, że mimo przewidzianych kwalifikacji nie uda mi się przeniesienie do Lwowa. Wtem przybył nagle rozkaz wprost z Ministerstwa z pominięciem korpusu, dywizji i brygady, że należy mnie odkomenderować do Lwowa dla ukończenia studiów i zdania egzaminów. Zdziwiony był dowódca pułku, płk Paulik, że rozkaz w tej sprawie przyszedł wprost z Ministerstwa, ale rozkaz ten był prawomocny i musiał go wykonać. Paulik był ciekaw, jakie miałem poparcie u samego Ministra, odegrałem rolę z Gogola i zapodałem, że mnie osobiście poparł wysoko postawiony arcyksiążę.

Uradowany opuściłem front, przyjechałem do Lwowa ku wielkiemu zdziwieniu niechętnych mi dygnitarzy z korpusu. Zgłosiłem się u szefa sanitarnego armii marszałka niemieckiego Linsingena, któremu Lwów podlegał i poprosiłem o przydział. Szef proponował mi rozmaite szpitale, ale gdy podał mi szpital na górze Kadeckiej, chętnie się na ten szpital zgodziłem, tym bardziej, że mieszkała tam moja żona i jej rodzice. Kiedy się jednak zgłosiłem do szpitala, stwierdziłem, że szpital ten leczy choroby weneryczne, ku badaniu i leczeniu których miałem dużą awersję. Oświadczyłem dowódcy szpitala, że jestem wprawdzie odkomenderowany do tego szpitala, ale nie mam zamiaru poświęcić się wenerologii i zgłoszę się do szefa sanitarnego armii z prośbą o udzielenie mi innego przydziału. W czasie tej rozmowy wszedł pan w cywilu, okazało się, że był to docent Uniwersytetu Wiedeńskiego znakomity dermatolog, Wiktor Mucha, syn Dyrektora Szpitalnictwa Wiedeńskiego. Komendant zwrócił się do docenta z zażaleniem, że szpitalowi przydzielono odpowiedniego medyka, absolwenta medycyny, a ten na wiadomość, że jest to szpital weneryczny nie chce objąć służby i ucieka ze szpitala. Docent przyjrzał mi się i powiedział, że przydam mu się, że jest obecnie wojna, „zostaniesz i zobaczymy kto ma większe wpływy w szefostwie, ja, czy ty”. Na to rzekłem bezczelnie: „Zobaczymy”. Zameldowałem się w szefostwie u generała, wpływy docenta Muchy były oczywiście silniejsze, interwencja moja nie pomogła i musiałem wrócić do szpitala i tam pozostać. Zgłosiłem się do docenta Muchy, kierownika oddziału oficerskiego i konsulenta szpitala, do którego zostałem skierowany i oświadczyłem, że pozostanę w szpitalu, ale nie mam zupełnie zamiaru zajmować się ani wenerologią, ani dermatologią. Zgłaszający się chorzy do tego

szpitala (2000 łóżek) byli przeważnie z kiłą, mało było wypadków dermatologicznych. Był to czas, gdy badano krętki kiłowe metodą czarnego tuszu, a stosowano zastrzyki ręci metodą domięśniową. Był to już jednak okres salvarsanu, który podawano dożylnie z dużym nabożeństwem. Nie bardzo jednak zajmowałem się syfilosologią, starałem się jak najczęściej wychodzić na wykłady i na ćwiczenia, i jak najlepiej w miarę możliwości przygotować się do egzaminów końcowych.

Pierwszy egzamin z anatomii patologicznej zdawałem u prof. Nowickiego, a patologię ogólną u prof. Becka, bo kierownika katedry tej prof. Prusa zdjęto z katedry za korzystne (merkantylne) załatwianie wojennych chorych, których wysyłano do niego na konsultacje neurologiczno-psychiatryczne. Farmakologię zdawałem u prof. Popielskiego, asystenta słynnego Pawłowa, a internę u prof. Gluzińskiego. Egzamin ten był bardzo interesujący i pozostał mi długo w pamięci. Chorych do egzaminu przygotowali asystenci prof. Gluziński z oddziału szpitalnego, którego prymariuszem był późniejszy kierownik kliniki prof. Rencki. W moim przypadku, jak i w innych przypadkach prof. Gluziński często nie zgadzał się z rozpoznaniem prof. Renckiego. Odpowiedź moja była słaba, a gdy z części teoretycznej zapytał mnie profesor z zakresu tyfusu plamistego, po odpowiedzi oświadczył mi, że moja odpowiedź jest godna starego lekarza powiatowego, a nie studenta i egzamin zdałem. Z innych przedmiotów ciekawym był egzamin z okulistyki. Profesor Machek w obawie, że asystenci zapoznają nas z rozpoznaniem przypadków, sam wybierał chorych w poczekalni i na korytarzach. Okazało się, że miałem tego pecha, czy też może szczęście, że u trzech chorych, których profesor wyszukał dla mnie rozpoznałem to samo schorzenie. Oburzony wprawdzie tym faktem profesor wpisał mi jednak notę celującą. Było to wynikiem szczęścia, a nie odpowiedniego przygotowania do egzaminu. Wreszcie wspomnieć muszę przebieg egzaminu u prof. Halbana, kierownika kliniki neurologicznej. Był to profesor – salonowiec, wytworny i elegancki pan, syn profesora medycyny sądowej w Krakowie o niemieckim nazwisku nobilitowany przydomkiem Halban i ten przydomek przybrali trzej bracia profesor prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, znany położnik z Uniwersytetu Wiedeńskiego. Do prof. Halbana zgłosiłem się nie najlepiej przygotowany. Wychodziłem bowiem z założenia, że neurologia w owych czasach ani pod względem diagnostyki, ani terapii nie spełniała swego zadania. Zgłosiłem się do egzaminu z kolegą moim jeszcze z ławy szkolnej – Koskowskim – późniejszym dziekanem wydziału lekarskiego. Chorych było dwóch, jeden z objawami władu rdzenia, druga z bliżej dla mnie nieokreślonymi objawami. Umówiłem się z Koskowskim, że on jako lepiej przygotowany do egzaminu zajmie się tą kobietą o bliżej nieokreślonych objawach, a ja natomiast chorym z objawami kiły rdzenia. Rzecz ułożyła się inaczej. Koskowski otrzymał chorego z objawami kiły, a ja chorą żydowską kobietę z nieokreślonymi dla mnie objawami. Wymyśliłem jakieś dzikie, nieuzasadnione rozpoznanie. Wówczas prof. oświadczył mi, że ma wiele względów dla studentów zgłaszających się z pola bitwy. – „Widzę, że ma pan sporo odznaczeń bojowych, ale pan napra-

wdę nic nie umie”. Zwróciłem się do profesora z zapytaniem, na co choruje ta kobieta, skoro moje rozpoznanie jest fałszywe. Profesor powiedział, zaraz panu pokażę, huknął na chorą, uderzył ręką w stół, a chora od razu poruszyła nogami i rękami – była to histeria. Ja roześmiałem się, a profesor rzekł: „Pierwszy raz widzę studenta, którego ścinam przy egzaminie, a on się śmieje”. Powiedziałem mu: „Żąda pan od studenta, by na chorych krzyczał, a to nie jest podejście lekarskie i dlatego nie mogłem wobec chorej zachować się agresywnie”. Roześmiał się profesor – ponieważ dowcip się panu udał, uważam egzamin za zdany. Egzamin z dermatologii zdawałem u prof. Łukasiewicza, który pochwalił mnie, i powiedział, że po raz pierwszy zdarza mu się, że student tak ładnie i wyczerpująco zdaje egzamin z dermatologii. Oczywiście nie wiedział o tym, że miałem za sobą wielomiesięczną praktykę na oddziale u doc. Muchy. Po zdaniu egzaminu z każdego przedmiotu, zdawałem relację docentowi z przebiegu egzaminu. Pozostały jeszcze dwa przedmioty do zdawania: chirurgia i higiena. Egzamin z higieny przedstawiał się w ten sposób, że wsiadało się do tramwaju z podręcznikiem higieny pod pachą, przeczytało się jeden rozdział i podawało się profesorowi (Kučera) nagłówek tego rozdziału z prośbą, by treść tego rozdziału była przedmiotem egzaminu. Zwyczajnie profesor Kučera prośbę studenta uwzględniał i z tego wybranego zagadnienia był student pytany. Gdy zawiadomiłem prof. Muchę (tak go wszyscy tytułowali), że jestem po wszystkich egzaminach z wyjątkiem chirurgii u prof. Rydygiera, oświadczył mi bym się tak nie ambicjonował na awans, bo uzyskałbym awans po zdaniu ostatniego egzaminu i otrzymaniu dyplomu lekarskiego, ale wysłał mnie na front, a tak jako medyk pozostanę jeszcze długo na jego oddziale w szpitalu na zapleczu, chirurgię mam czas zdawać po skończonej wojnie. I tak się też stało, że pozostałem w szpitalu do końca wojny. Niedługo potem szpital przeniesiono ze Lwowa do Rawy Ruskiej, mieścił się w barakach do listopada 1918 roku.

Z postoju naszego szpitala w Rawie Ruskiej utkwily mi w pamięci następujące zdarzenia. Do szpitala przywieziono młodego mężczyznę, ofiarę katastrofy kolejowej. Zaszła potrzeba amputowania obu nóg. Ciężkiego tego zabiegu podjął się prof. Mucha, asystował doc. Planer z Wiednia, a ja instrumentowałem. Przed operacją wyraziłem zdziwienie, że tak ciężkiej operacji podejmuje się dermatolog, asystuje dermatolog i instrumentuje dermatolog. Zapytałem profesora, czy w swoim życiu już amputował kończyny. Oświadczył mi, że wprawdzie jeszcze nigdy nie amputował, ale dobrze się tym zabiegom przypatrywał (Ich habe geschaut und gut geschaut). Zabieg trwał przeszło dwie godziny, a zakończył się zgonem pacjenta. Dalsze zdarzenie, które utkwilo mi w pamięci, była podsłuchana rozmowa dwóch dziewcząt ukraińskich dnia 27 X 1918 r., które głośno uradowane komunikowały sobie wiadomość, że w piątek będzie wielka frajda. W ten piątek (1 XI 1918 r.) Ukraińcy zajęli Lwów w porozumieniu z rozpadającą się monarchią habsburską.

Z końcem października zamierzał prof. Mucha wybrać się na dłuższy urlop do Wiednia, ja natomiast na kilka dni do Lwowa. Po długich targach zgodził

się Mucha na mój wyjazd kilkudniowy do Lwowa, zarówno Mucha, jak i ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z kończącej się wojny. Przyjechałem do Lwowa 31 października, Lwów przywitał mnie deszczem jak z cebra. Dworzec zapelniony wojskami austriackimi robił niesamowite wrażenie. Rano wyszedłem na ulicę Kadecką i z okien zawołał do mnie późniejszy profesor psychologii Uniwersytetu Poznańskiego Błachowski, bym zdjął orzełka austriackiego z czapki oficerskiej, bo Ukraińcy opanowali Lwów, austriackie wojska uciekają. Austria oddała Lwów Ukraińcom i przewiduje jednego z Habsburgów (Wilhelma) na króla ukraińskiego – Wasyla. Polacy natomiast skoncentrowali swe skromne siły obronne młodzieży w dawnej szkole Marii Magdaleny. Młodzież polska ruszyła pod broń do ataku, by odzyskać stracone pozycje Lwowa. Wróciłem do domu na górę Kadecką i w willi rodziców żony zorganizowałem punkt opatrunkowy dla walczących i ludności, narażonej na pociski z Cytadeli opanowanej przez Ukraińców. I tak rozpoczęła się moja obrona Lwowa. Szwagrowie moi (Felsztynowie), młodzi chłopcy opuścili dom i razem z innymi obrońcami Lwowa zebrali się w szkole Marii Magdaleny. Walki o Lwów nie będę opisywał – opisem tych walk zajęli się inni, bojowi uczestnicy polskiej obrony Lwowa w obszernych monografiach. Ja trwałem na posterunku zorganizowanego punktu opatrunkowego, dopóki nie skierowano mnie jako lekarza do konnej baterii artylerii, którego dowódcą był kpt. Wierzejski, późniejszy znany mecenas historii sztuki. Walki o Lwów przesunęły się, a gdy do akcji wkroczyła armia Petlury, postanowiłem jednak zdawać egzamin z chirurgii i uzyskać dyplom lekarza. Zgłosiłem się do egzaminu z chirurgii. Egzaminatorem był prof. Rydygier. Przed egzaminem zwrócił mi uwagę asystent Rydygiera, Rodziński, brat mojego przyjaciela Artura, bym w czasie egzaminu o ile możliwości unikał tytułowania prof. Rydygiera. Rydygier, który był wprawdzie wybitnym chirurgiem, ale był też człowiekiem próżnym i stale obrażał się, gdy go tytułowano w czasie obrony Lwowa jak dotychczas hofratem, bo oświadczał, że nie jest już hofratem ani generałem austriackim (bo w czasie wojny uzyskał ten stopień), ani magnificencją (bo jak oświadczał, rektorem jest Kasprowicz, o którym nie wiadomo nawet czy jest doktorem, a już na pewno jest profesorem, bo profesorami są Sieradzki i Nowicki, których w Krakowie ściał przy egzaminie z chirurgii). Starłem się w miarę możliwości zastosować do wskazań Rodzińskiego – jednak nie udało mi się. – I gdy zatytułowałem Rydygiera per „magnificencjo panie rektorze” – z miejsca zareplikował mi znanymi określeniami w stosunku do rektora Kasprowicza, prof. Nowickiego i Sieradzkiego i odesłał mnie, oświadczając, żebym codziennie zgłaszał się do kliniki i w czasie obchodu i wizyt lekarskich będzie mnie egzaminował, aż przekona się, czy naprawdę opanowałem materiał egzaminacyjny. Nie pomogło zaświadczenie moje z dowództwa baterii, że dla celów egzaminacyjnych otrzymałem tylko trzydniowy urlop i że w tym czasie bateria pozostała bez lekarza. Wróciłem markotny do domu, a tego samego dnia przyszedł do mnie Rodziński z wiadomością, że Rydygier wyjeżdża na 3 dni do Poznania, dokąd stara się przenieść. Była to środa, profesor wraca w poniedziałek, albo może i wcześniej. Jeżeli

uda mi się w okresie jego nieobecności zdać egzamin z chirurgii, to pozbędę się Rydygiera jako egzaminatora. Pobiegnę natychmiast do dziekanatu z prośbą o nowy termin z chirurgii.

Egzaminatorem poza Rydygierem był prof. Herman, u którego egzamin nie był trudny. Prof. Herman zajmował się kontrowersyjnym wówczas zagadnieniem wyrostka robaczkowego, które to schorzenie leczyli interniści konserwatywnie. Prof. Herman napisał niedużą broszurę na ten temat, z którą należało się zapoznać. Dziekan Sieradzki zapytał mnie czy w ogóle zgłaszałem się do egzaminu u prof. Rydygiera. Opisałem panu dziekanowi obraz egzaminu u Rydygiera i oświadczyłem, że żąda ode mnie rzeczy niemożliwej, mianowicie opuszczenia na dłuższy czas baterii, a ja otrzymałem na egzamin wyjątkowo trzy dni urlopu. Prof. Sieradzki oświadczył, że gdyby nie chodziło o Rydygiera, to wyznaczylby innego egzaminatora, ale w tej sytuacji gdy w grę wchodzi Rydygier trudno mu to załatwić. Nie dałem za wygraną i powiedziałem, że jeżeli trudno samemu dziekanowi zdecydować, to może zdecydowałaby Rada Wydziału. Prof. Sieradzki przychylił się do mojej prośby i obiecał tę sprawę rozpatrzyć na Radzie Wydziału, która odbędzie się za kilka godzin. W dziekanacie czekałem na werdykt Rady Wydziału. Miał to być pierwszy punkt porządku dziennego. Sprawa ta została pozytywnie dla mnie załatwiona i jako egzaminatora wyznaczono mi prof. Hermana. Jeszcze w czasie posiedzenia zawiadomiła mnie o tym miła i sympatyczna sekretarka dziekanatu p. Sokołowska. Uzyskawszy tę wiadomość pobiegłem do niedaleko mieszkającego prof. Hermana i zaprosiłem go w imieniu dziekana (bezprawnie) na egzamin w czwartek, zaznaczając (co nie było prawdą), że egzamin odbędzie się w obecności dziekana. Wróciłem do dziekanatu i czekałem na koniec posiedzenia. Wyszedł prof. Sieradzki, który uśmiechnięty zawiadomił mnie, że mam szczęście, Rada Wydziału zgodziła się wyjątkowo na zmianę egzaminatora, ale nie wie jak to załatwić, bo prof. Hermana może zawiadomić dopiero dnia następnego tj. w czwartek lub w piątek, a egzamin może wyznaczyć na sobotę, ale w soboty nie odbywają się egzaminy, są to wedle tradycji dni promocji doktorskich, a zatem egzamin może odbyć się dopiero w poniedziałek – dzień powrotu Rydygiera z Poznania. Oświadczyłem, że jeszcze w czasie posiedzenia jeden z członków Rady Wydziału zawiadomił mnie o pomyślnej dla mnie decyzji, wobec czego udałem się do prof. Hermana celem ustalenia z nim terminu egzaminu i prof. Herman prosi dziekana na czwartek do kliniki chirurgicznej na egzamin. Egzamin odbył się prawidłowo. Prof. Herman jak było do przewidzenia pytał mnie z zakresu patologii i chirurgii wyrostka robaczkowego, na co odpowiedziałem prawidłowo zgodnie z poglądami profesora, a drugie pytanie obejmowało zakres czyracycy, to przedstawiłem w sposób dermatologiczny, korzystając z doświadczenia nabytego w oddziale Muchy. Prof. Herman był zadowolony z przebiegu egzaminu i wpisał do protokołu egzaminacyjnego w obecności dziekana notę celującą. Wprost z kliniki chirurgicznej udałem się do kierownika Zakładu Higieny prof. Kučery i zaprosiłem go na promotora na sobotę. Była to z mojej strony dalsza złośliwość w stosunku do Rydygiera.

Prof. Kučera, chrystusowa postać, lubiany przez młodzież i profesorów, ożeniony z Polką i wychowujący dzieci w duchu polskim, był narażony na ataki ze strony Rydygiera, który wypominał mu jego czeskie pochodzenie i wzywał do opuszczenia kraju i przeniesienia się do Czechosłowacji. Tak się też stało, prof. Kučera w późniejszym terminie wyjechał do Pragi, gdzie objął katedrę higieny na Uniwersytecie i równocześnie stanowisko ministra zdrowia. W piątek udałem się do rektora Kasprowicza z prośbą o wyznaczenie dnia promocji na sobotę (dzień następny). Kasprowicz oponował, tłumaczył mi, że to zbyt krótki czas dla poczynienia przygotowań promocyjnych, zawiadomienia profesorów, oraz opracowania dyplomu. Gdy Kasprowicz w dalszym ciągu oponował, przekonałem go następującym argumentem: „Nie zależy mi na formalnym dyplomie, a promotor, prof. Kučera został już przeze mnie zaproszony, a jeżeli chodzi o dyplom, to wystarczy mi zaświadczenie, że zdałem wszystkie egzaminy i promocja została dokonana”. Wspomniałem, że rozmowa toczyła się wśród huku bomb i powiedziałem jeszcze rektorowi: „Po promocji wracam do baterii, z której wrócę lub nie wrócę po wojnie, a jeżeli zginę w walce, to dlaczego mam zginąć jako student, a nie jako dyplomowany lekarz, a żonę pozostawić jako wdowę studenta, a nie lekarza”. Argument ten przekonał Kasprowicza i wyznaczył mi akt promocyjny na dzień następny. I w sobotę, w dniu następnym wśród dalszego huku bomb, złożyłem ślubowanie i odbyłem akt promocyjny. W poniedziałek wrócił rzeczywiście prof. Rydygier z Poznania i szukał w swoim biurku mojego protokołu egzaminacyjnego. Protokołu nie znalazł. Asystenci nie mieli odwagi poinformować go o stanie rzeczy. Jedynie najmłodszy asystent, ułomny Chomicki, zdobył się na odwagę i oświadczył profesorowi, że egzamin odbył się w obecności dziekana, a egzaminatorem był prof. Herman. Rydygier wściekły oświadczył, że unieważni promocję. Było to jednak niemożliwe, zarówno egzamin, jak i promocja odbyły się prawidłowo. Ten egzamin z chirurgii prześladowuje mnie po dzień dzisiejszy i śni mi się niekiedy, że posiadam dyplom lekarski bez zdanego egzaminu z chirurgii. I tak wykiwałem samego pana Hofrata. Rydygier był nie tylko człowiekiem próżnym i złośliwym, ale i bigotem. Zabiegi operacyjne dokonywało się w owych czasach w domach prywatnych. I było rzeczą znaną, że przed każdym zabiegiem, także w domach ortodoksyjnych, żydowskich, padał najpierw na kolana, odmawiał pacierze, dopiero potem przystępował do zabiegu.

Po uzyskaniu dyplomu zgłosiłem się do baterii, ale z szefostwa sanitarnego przyszedł rozkaz objęcia przeze mnie placówki samodzielnej. Jako dyplomowany lekarz objąłem kierownictwo Izby Chorych w Zakładzie św. Teresy przy ul. Leona Sapiehy, która była przede wszystkim punktem opatrunkowym, zgłaszali się nie tylko ranni obrońcy Lwowa, ale także siostry, które wykorzystywały często moją obecność, by uzyskać zaświadczenie na konieczność wyjazdu ze Lwowa na zachód, głównie do Zakopanego, gdzie siostry miały swój dom. Pobyt bowiem we Lwowie nie należał wówczas do bezpiecznych i przyjemnych. Odległość od Izby Chorych do mojego mieszkania była nieduża. W zasadzie można było tę drogę przebyć w kilkanaście minut, ale w czasie obrony Lwo-

wa była to droga daleka i często mój powrót do domu trwał kilka godzin. Droga ta była ostrzeliwana przez Ukraińców i stąd odbywało się tę drogę chroniąc się z bramy do bramy. Obrona Lwowa jest osobnym zagadnieniem, szeroko omawiana w piśmiennictwie i dlatego nie będę jej w tym szkicu pamiętnikarskim osobno omawiał. Wojna toczyła się dalej. Objąłem punkt opatrunkowy w Rzesnej Ruskiej niedaleko Brzuchowic, koło Lwowa. Przybyli do armii z pomocą niektórzy ułani tzw. „pułkownicy” w mundurach rosyjskich w spodniach z czerwonymi lampasami, którzy dokonywali wśród ludności bezprawnych rekwizycji. Ludność zgłaszała się do mnie z zażaleniami i prośbą, bym ukrocił tych młodych generałów, którzy tak rabują i bezlitośnie traktują ludność (ze względu na czerwone lampasy ułanów Mościckiego nazywała ludność generałami).

Zbliżały się święta Wielkanocne. Żona przebywała sama w dużej willi, bracia jej byli na froncie, a rodzice wyjechali wtedy do Warszawy. W Wielki Piątek uzyskałem kilkudniowy urlop na wyjazd do Lwowa i byłem przekonany, że po przyjeździe zastanę oprócz żony jej młodszego brata 17-letniego Romka. Wiedziałem o tym, że Romek choruje na nerki i uzyskał od doc. Sokołowskiego urlop chorobowy. Romek nie skorzystał z urlopu ale wrócił do kolegów na front. Według informacji ze sztabu, miała się rozpocząć ofensywa nasza pod Obroszynem w Wielką Środę, względnie w pierwszy dzień Wielkiej Nocy. Romek przyrzekł mi, że pojedzie na front tylko po to, by pożegnać się z kolegami i w tym samym dniu wróci do domu. Okazało się jednak, że informacja moja była nieścisła, a ofensywa rozpoczęła się w Wielki Piątek. Mimo choroby Romek brał udział w ataku, chcąc pomścić śmierć przyjaciela Romka Haydera, który zginął już przedtem w obronie Lwowa. W ataku tym brał udział jako dowódca batalionu jego brat Tadeusz. Tadeusz nie wstrzymał Romka od uczestnictwa w tym ataku. W sobotę, a było to 19 kwietnia zjawił się przed domem naszym Tadeusz z wozem, a na moje zapytanie, gdzie jest Romek, odpowiedział mi, że na wozie. Pobiegnę do wozu i zobaczyłem Romka nieżywego. Ze względu na ewentualny szok rodziców, nie chciałem Romka umieścić w domu, skierowałem wóz ze zwłokami do kaplicy na Politechnice, gdzie składano zwłoki poległych. Okazało się, że w ataku pocisk ugodził Romka w samo serce i tak bezboleśnie zginął. Kiedy następnego dnia odwiedziłem zwłoki Romka wydawało mi się, że słyszę bicie jego serca, było to jednak bicie nie serca, ale tykanie zegarka, który miał przy sobie i który chodził jeszcze po jego śmierci. Pogrzeb odbył się z honorami wojskowymi na cmentarzu Obrońców Lwowa na Łyczakowie. Tragedię tę przeżyliśmy bardzo boleśnie.

Z Rzesnej Ruskiej przeniesiono mnie do Szczerca pod Lwowem, gdzie zorganizowałem nowy punkt opatrunkowy. W punkcie tym po raz pierwszy zetknąłem się z poznaniakami, którzy wolapukiem poznańskim zwracali się do mnie o pomoc jak np. „Wunda mnie boli panie poruczniku, proszę o hilfę”, itp. Tamże w Szczercu towarzyszył mi ordynans Wojciech Kielbasa. Pochodził ze wsi w rzeszowskim, a jego zachowanie świadczyło o ciemnocie, która tam pa-

nowała. W tym czasie gdy przebywałem jeszcze we Lwowie, posłałem go raz, aby kupił mi wędliny. Po długim czasie wraca, pytam go, czy kupił wędliny. Na co Wojciech Kielbasa odpowiada mi, że nie było „wąglin”. „Jak to” pytam, „kielbasy też nie było?” „Kielbasa była, ale wąglin nie było”. Kiedy indziej posłałem go rano o 8mej godzinie do fabryki dra Ruckera na Zniesienie (na drugi koniec Lwowa), gdzie miał odebrać jakieś konserwy. Mija południe, a Wojciecha Kielbasy nie ma. Wreszcie o 18-tej zjawia się, oczywiście bez obiadu i bez konserw. Na zapytanie dlaczego tak długo tam był, odpowiada, że powiedzieli mu, że dyrektor (dr Rucker) pojechał do Wiednia, więc czekał aż wróci. Innym razem w Szczercu (mieliśmy tam pokój z kuchnią) wchodzę do kuchni i zastaję Wojciecha Kielbasę, który szklany pręcik wpycha do nosa. Pytam go co robi, a on mówi, że był u fryzjera, który mu sprzedał „perfony” i że tam był szklany pręcik, więc wpycha go do nosa i tak wacha „perfony”.

W tym okresie przyjechał do Lwowa kombinowany pułk artylerii i kawalerii, pod dowództwem rotmistrza (nazwiska nie pamiętam). Dowództwo mieściło się obok Teatru Wielkiego (róg ul. Furmańskiej). Tam też zostałem skierowany. Gdy miałem się zgłosić do dowództwa, żołnierz pełniący wartę zapytał, kogo ma zameldować. Powiedziałem, że lekarza. A ten na to zapytał, jakiego lekarza, czy konowała, czy lekarza sanitarnego. Mając poczucie humoru, a nie znając jeszcze bliżej określić dla służby sanitarnej w Polsce centralnej, powiedziałem mu „zameldujcie lekarza konowała”. Rotmistrz-komendant przyjął mnie bardzo życzliwie, ale oświadczył, że nie rozumie tego przydziału, ponieważ przydzielono mu już jednego weterynarza. Oświadczyłem mu, że nie jestem weterynarzem, ale lekarzem wszech nauk lekarskich – jak brzmiał mój dyplom. Rotmistrz oburzony na wartownika powiedział: „Co za idiota, zamiast zgłosić lekarza dla ludzi, zgłosił lekarza dla zwierząt”. Tym weterynarzem był bardzo sympatyczny i przystojny, późniejszy profesor SGGW w Warszawie, Koppe, z którym łączyły mnie później bardzo miłe stosunki. Nazwa „lekarz konował” była u nas, w dawnej Małopolsce określeniem pogardliwym dla nieudolnych lekarzy. Na tym stanowisku pozostałem jednak niedługo, skierowany zostałem do szpitala okręgowego we Lwowie, w charakterze lekarza oddziału chorób wenerycznych. Choroby weneryczne bowiem w tym czasie zaczęły się szerzyć, zwłaszcza gdy przybyły na odsiecz Małopolsce oddziały Hallera z Francji, tzw. niebieskie mundury. I na tym stanowisku nie pozostałem jednak długo. Wezwany zostałem do referenta personalnego frontu, który poinformował mnie, że pod Przemyślem, we wsi Żurawica, zorganizowano szpital weneryczny o znacznej ilości łóżek, że starzy lekarze bronią się przed opuszczeniem Lwowa i ja jako najmłodszy dermatolog powinienem tam objąć stanowisko ordynatora. Szpital ten przeznaczony jest głównie dla chorych kiłowych, których leczono neosalvarsanem. Neosalvarsan niemiecki, który stosowano na oddziale prof. Muchy, już się wyczerpał i przysłano do szpitala preparat francuski, Neoarsenolbenzol Billon. Preparat ten rozpuszczaliśmy w wodzie destylowanej i wstrzykiwaliśmy dożylnie. Przestrożą przy stosowaniu preparatu niemieckiego było uzyskanie roztworu czystego, przejrzystego, jasno żółtego i nieutlenione-

go. Roztwór, który nie odpowiada tym warunkom nie nadawał się do wstrzykiwań dożylnych. Miałem stale przygotowaną do zabiegu flaszkę z wodą destylowaną dla uzyskania roztworu i flaszkę z alkoholem etylowym do odkażania skóry. Gdy przygotowałem roztwór wodny z preparatem francuskim otrzymałem zawieszinę wprawdzie jasno żółtą, ale mętną. Wobec czego zażądałem od apteki szpitalnej przysłania mi nowych paczek tego preparatu, ale okazało się, że wszystkie paczki dawały identycznie mętne emulsje. Doszedłem wobec tego do wniosku, że preparat francuski ma właśnie takie właściwości. Pouczeń specjalnych opakowania nie posiadały. Według zwyczaju oczyszczałem skórę alkoholem i rozpuszczony preparat wstrzykiwałem dożylnie. Pamiętam takie zdarzenie: jak zwykle oczyściłem skórę alkoholem i preparat rozpuściłem w moim mniemaniu w wodzie. Wprowadziłem igłę do żyły, cofnąłem tłok w strzykawce, by stwierdzić czy rzeczywiście jestem w żyłę. Gdy tłok cofnąłem, wpłynęła krew do strzykawki i natychmiast skrzepła. Okazało się, że sanitariusz pozamieniał flaszki z nalepkami alkoholem i wodą, i zamiast roztworu wodnego miałem w strzykawce emulsję alkoholową, która powodowała skrzep krwi. Skrzep wstrzyknięty do żyły spowodowałby zgon chorego. Przerwałem zabieg, szaszokowany i podenerwowany opuściłem szpital i w tym dniu nie dokonałem już żadnych wlewań salvarsanowych.

W Żurawicy pozostałem przez kilka miesięcy (przez całe lato 1919 r.) i korzystałem z bogatego materiału klinicznego z zakresu wenerii. Z przygód tamże wspomnieć muszę o młodym eleganckim poruczniku intendentury, którego skierowano do szpitala. Porucznik ten chwalił się powinowactwem z Moszkowiczem, którego był zięciem, przekonani byliśmy, że wspomina znanego lekarza dr. Moszkowicza, którego dobrze znałem i wiedziałem, że nie ma żadnej córki. Okazało się jednak, że porucznik chwalił się znanym na bruku lwowskim, a później warszawskim Francem Moszkowiczem, właścicielem „Casino de Paris”. Pewnego wieczoru będąc na służbie usłyszałem pogawędkę sierżantów skupionych koło jednego z baraków: „Rozumiem, że na wojnie kradną, ale tak kraść jak ten nowy porucznik, to zbyt wiele”. Wezwałem ich do raportu i ci oświadczyli, że nowy intendent okrada szpital. W kilka dni potem zgłosił się jeden z dostawców porucznika i dowiedział się, że w międzyczasie porucznik został zwolniony ze stanowiska w szpitalu, odrzekł „Spodziewałem się tego, że porucznik niedługo pozostanie w szpitalu, chciał bowiem zbierać sobie złoto, ale czynił to nieporęcznie, bo zamiast zbierać złoto przez małe okienko, zbierał je przez obszerną szybę wystawową, niczym szyby w wielkim magazynie Starcka” (we Lwowie znany sklep galanteryjny). Porucznik został odesłany pod pozorem, że nie nadaje się na stanowisko intendenta w szpitalu. Gdyby komendant szpitala ujawnił przyczyny odesłania niesfornego intendenta, groziłaby mu sprawa w sądzie polowym, a rozkazy generała Rozwadowskiego były pod tym względem bardzo rygorystyczne. Było to w administracji zjawisko łapówkarstwa, tak charakterystyczne dla ówczesnych stosunków.

Następną moją placówką był samodzielny oddział chorób wenerycznych w szpitalu okręgowym w Jarosławiu, w którym pełniłem obowiązki samodzieln-

nego ordynatora. Oddział był bardzo prymitywny, chorych było mnóstwo i to niezdiscyplinowanych i trzeba było użyć dużo energii zarówno w organizacji oddziału jak i w utrzymaniu chorych w ryzach. W Jarosławiu opracowałem też moją pierwszą pracę naukową. Był to przyczynek kazuistyczny do kiły poza płciowej, a ogłoszony został w „Lekarzu Wojskowym” w 1920 r. Badania te rozpoczęły się w kasynie oficerskim. Ordynator oddziału chirurgicznego, Antoni Rydygier, syn wielkiego Ludwika Rydygiera, opowiadał przy obiedzie o dziwnym przypadku chorobowym. Zgłosił się do niego młody porucznik ze zmianą na wardze i trudno mu się było zorientować jakiego rodzaju jest to schorzenie. Jako najmłodszy wiekiem ordynator zasiadałem przy trzecim stole i przysłuchiwałem się wywodom Rydygiera. Przy końcu odezwałem się nieśmiało, że jest to prawdopodobnie zmiana kiłowa i wystąpiłem z propozycją, by przysłał mi tego chorego do zbadania. Rydygier z przekąsem oświadczył, że ja we wszystkim dopatruję się kiły. Następnego dnia zgłosił się do mnie na oddział wspomniany porucznik ze zmianą chorobową na wardze, u którego rozpoznałem pierwotną zmianę kiłową. Badania mikroskopowe potwierdziły moje rozpoznania. Doszukiwałem się źródła zakażenia. Mógł nim być pocałunek, ugryzienie warg. Porucznik początkowo bronił się przed podejrzeniem o możliwości zakażenia, nie gryzł się z nikim i nie całował. Ale ostatecznie przyznał się, że złowrogi pocałunek pochodzi od sekretarki pułku, którego on był adiutantem. Sekretarka ta według zapewnień porucznika była osobą zdrową, córką tamtejszego adwokata i notabla. O powyższym zawiadomiłem dowódcę pułku i zażądałem zbadania sekretarki. Badanie wykazało, jak oświadczyłem dowódcy, że sekretarka może zarazić nie tylko jednego adiutanta, ale cały pułk. Porucznika chciałem umieścić na oddziale. Prosił i błagał bym przeprowadził leczenie ambulatoryjnie, że będzie stosował się do wszystkich moich zaleceń, by nikogo nie zarazić. Ale gdy wieczorem wstąpiłem do jedynej kawiarni w Jarosławiu, zastałem tam towarzystwo raczące się alkoholem, gdzie kieliszki wędrowały z ust do ust, a między innymi do ust mojego pacjenta.

Wspomnę jeszcze o tragicznym wypadku, który miał miejsce w czasie parady wojskowej. Młody kapitan artylerii w czasie tej parady spadł z konia i w stanie śmiertelnym skierowano go do szpitala. Okazało się, że przyczyną był wylew krwi do mózgu. Jak utrzymywali lekarze, wylew ten był na tle kiłowym. W tym czasie także zaroił się szpital uciekającymi z pola bitwy wojskami Denikina, którzy w wytwornych mundurach szerzyli wszawicę i tyfus płamisty. W szpitalu czynni byli wówczas szczególnie prof. Reis i jeden z ordynatorów oddziału chirurgicznego dr Maksymilian Jonas. Żona moja przebywała ze mną zarówno w Żurawicy jak i Jarosławiu, nie przerywała jednak swoich ćwiczeń pianistycznych i lekcji u prof. Lalewicza we Lwowie. Latem 1920 roku (dokładnej daty nie pamiętam) zostałem odkomenderowany na front i zgłosić się miałem w dowództwie sanitarnym Naczelnego Dowództwa w Warszawie. Warszawa wówczas nie orientowała się w sytuacji wojennej, walki toczyły się na terenie granicznym. Niechętnie wyjeżdżałem wtedy na front, bowiem zachorowała moja żona, dostała ataku na skutek zapalenia wyrostka robaczkowego.

Z Warszawy odkomenderowano mnie do dowództwa IV armii w Mińsku Litewskim. Sytuacja w Mińsku Litewskim była niewyraźna. Szef sanitarny armii (płk Orzegowski, nie jestem pewien nazwiska) przyjął mnie z wielkim podnieceniem i oświadczył mi, że żadnego przydziału mi nie przyzna. Armia jest w odwrocie, cofa się w nieznanym kierunku, może nawet do samej Warszawy. Polecił mi pozostać bez przydziału, przy sztabie. Miejsowości przez które odbywał się odwrót dokładnie nie pamiętam. W pamięci mojej pozostała służba w charakterze lekarza przybocznego gen. Szeptyckiego, dowódcy armii. Sztab mieścił się w wagonie w Hajnówce. Generał zachorował na dezynтеріę (czerwonka) i częściej siedział na kuble, w którym zostawiał krwawe stolce, niż nad mapami sztabowymi. W tym stanie chorobowym twierdził, że nie nadaje się na dowódcę, wkrótce też został zdjęty z tego stanowiska, a armię i dowództwo objął gen. Józef Haller, dowódca Frontu Północnego.

W czasie odwrotu, już w Mińsku Mazowieckim pod Warszawą, wyznaczono mnie jako lekarza asystującego przy wykonaniu wyroku Sądu Polowego nad młodym chłopcem, dezserterem, skazanym na śmierć. Sztab wycofał się już do Warszawy, na miejscu pozostali tylko audytorzy Sądu Polowego, pluton egzekucyjny i ja jako lekarz. Młodego chłopca prowadzono przez miasto na cmentarz, gdzie nad wykopany grobem odbyła się egzekucja. Dezercja szerzyła się wówczas nagminnie i dlatego też wyroki dla dezserterów były rygorystycznie przestrzegane. Chłopak przez cały czas płakał, że ma starą matkę a dezercja w armii była częsta, a tylko on jeden musi zginąć. Pocięczałem chłopca jak mogłem. Pojawiły się na horyzoncie samoloty nieprzyjacielskie. Odwracałem uwagę chłopca od czekającej go śmierci na samoloty, twierdząc, że bomby może za chwilę padną na nas, a śmierć jest koniecznym końcem życia naszego. Wśród jęków i płaczu doszliśmy wreszcie na cmentarz. Dezertera unieruchomiono nad grobem, a pluton egzekucyjny oddał przepisane strzały. Ja miałem stwierdzić śmierć chłopca. Byłem tak zaszokowany, że nie mogłem przez dłuższy czas stwierdzić zgonu, a stwierdziłem go dopiero po trzykrotnej salwie.

Razem z cofającą się armią przybyłem do Warszawy, gdzie pełniłem obowiązki referenta higieny, a częściowo referenta personalnego przy dowództwie Frontu Północnego. Dowódcą tego frontu był gen. Józef Haller, jego szefem sztabu Włodzimierz Zagórski, a jego brat był adiutantem generała, szefem zaś sanitarnym był były lekarz – admirał armii rosyjskiej, Trzemeski, bardzo dobry organizator i wytworny lekarz. Do moich obowiązków należało towarzyszenie gen. Hallerowi w wyjazdach na front. Haller wyjeżdżał na bardzo zagrożone pozycje frontowe, oświadczając, że kule nie imają się jego, bo jest pod specjalną opiekę Najświętszej Pani. Ponieważ ja nie byłem pod specjalną opieką, odradzałem wyjazdy w te miejsca, o ile oczywiście, nie zachodziła ku temu specjalna konieczność i potrzeba. Byłem świadkiem spotkania członków Rządu z premierem Witosem pod frontem w Rembertowie. Gdy żołnierze w popłochu cofali się przed natarciem wojsk nieprzyjacielskich Witos wygłosił krótkie przemówienie do żołnierzy z wezwaniem do obrony, gdyż gubią

ojczyznę. Na to jeden z żołnierzy, nie orientując się widocznie co do osoby przemawiającego, krzyknął: „Jeśliś taki patriota, to chwyć karabin i odpieraj sam ataki nieprzyjaciela”.

Warszawa mimo niebezpieczeństwa była spokojna, a anegdota krążyła po stolicy, jakby jej nic nie groziło. Ulicę Marszałkowską od kościoła Zbawiciela, aż po Ogród Saski zapełniały stoiska pań tzw. z towarzystwa, które darzyły wojaków kanapkami i słodyczami. Wojakami tymi byli przeważnie ordynansi oficerów sztabu, którzy wykorzystywali patriotyzm pań warszawskich i dlatego stale spóźniali się do służby u swoich oficerów. Jeżeli chodzi o kadrę lekarską, to przypominam sobie kilka faktów. Ze sztabu Naczelnego Dowództwa (szefem sanitarnym był płk Zawadowski, późniejszy prof. radiologii w Warszawie, a jego adiutantem, względnie referentem kolega mój por. Koskowski, późniejszy prof. farmakologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie). Przyszedł rozkaz wysłania na front do pułku lekarza. Jedyńm lekarzem w rezerwie był dr Henryk Goldschmidt (Janusz Korczak). Niechętnie wysyłałem go na front, zwłaszcza, że powiedział mi, że ze względu na chorą matkę chętnie wyruszyłby na front w terminie późniejszym. Gdy mu jednak zaproponowałem, żeby w tej sprawie użył swoich wpływów, oświadczył mi, że dla celów prywatnych nigdy ze swoich wpływów nie korzystał. Podobnie pozostała mi w pamięci sprawa lekarza Chotinera. W rezerwie był dr Chotiner jedynym lekarzem, a rozkaz Naczelnego Dowództwa był stanowczy. Skierowałem go do referenta szefostwa sanitarnego, porucznika Koskowskiego, by od niego uzyskał rozkaz przydziału. Miałem wątpliwości czy ten zestarzały, o marnej konstytucji lekarz z Czortkowa nadaje się do pełnienia obowiązków lekarza batalionowego na najbardziej wysuniętych pozycjach. Dr Chotiner wrócił od porucznika Koskowskiego przekonany, że właśnie on powinien objąć to stanowisko, wobec wyczerpanej rezerwy. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po skończonej wojnie spotkałem w Krynicy dr. Chotinera w doskonałej formie, zadowolonego, w mundurze pułkownika. Dr Chotiner oświadczył mi, że przydział stał się jego błogosławieństwem, mimo że nie zapowiadał się tak korzystnie. Był to przydział do jednostki operującej na tyłach armii nieprzyjacielskiej, a dowódcą był płk Sławek, który zlitował się nad stanem fizycznym przydzielonego lekarza i otoczył go opieką i stąd dr Chotiner pozostał w wojsku, w randze pułkownika, pełniąc przy tym obowiązki lekarza Ubezpieczalni. Po latach wspominałem o sprawie dr. Chotinera profesorowi Koskowskiemu, który odnosił się wrogo do lekarza żydowskiego pochodzenia i zaznaczyłem, że w tym wypadku kawał mu się nie udał.

Zbliżał się decydujący moment obrony Warszawy. Odbyła się narada oficerów francuskich (jeśli się nie mylę pod dowództwem gen. Weyganda) oraz polskich dowódców (marszałka Piłsudskiego, gen. Rozwadowskiego i gen. Hallera). Oczekiwaliśmy z niepokojem jaka zapadnie decyzja, czy armia podejmie obronę Warszawy, czy też cofniemy się do Poznania. Warszawa zaczęła się wyludniać z ludności cywilnej. Wreszcie zrelacjonowano nam wyniki obrad. Zrobił to gen. Zagórski, szef sztabu frontu półn. Generalicja francuska zajęła

stanowisko oddania Warszawy nieprzyjacielowi, ze względu na sytuację wojenną armii polskiej. Dowódcy polscy uważali obronę Warszawy za potrzebną, a nawet za konieczną. A gdy dowódcy francuscy dalej oponowali przeciwko stanowisku polskiemu i domagali się uzasadnienia, oświadczyli dowódcy polscy (podobno Piłsudski i Rozwadowski), że znają ducha narodu polskiego, jeżeli Warszawa padnie, to przegramy wojnę. Bitwę o Warszawę wygrała armia polska. Jakie były dalsze losy dowództwa Frontu Północnego nie wiem, odkomenderowany bowiem zostałem w charakterze referenta higieny do sztabu VI armii we Lwowie. Dowódcą armii był brat Józefa Hallera, gen. Stanisław Haller. Z przeniesienia tego byłem zadowolony, we Lwowie była już moja żona i rodzina. Pobyt mój w szefostwie VI armii miał właściwie charakter pokojowy. Mieszkałem w domu i przychodziłem rano do biura, siadałem przy biurku i pisałem rozkazy lub sprawozdania, od czasu do czasu wyjeżdżałem w delegacje, celem wizytacji terenu. Były to czasy na wpół pokojowe, gdyż był to okres, gdy toczyły się pertraktacje pokojowe ze Związkiem Radzieckim i od czasu do czasu pojawiali się już w celach pokojowych delegaci armii radzieckiej w śmiesznych filcowych czapkach, przypominających niemieckie pikelhauby. Zapoznałem się wówczas z terenem (okolice Łucka, Równego i in.), który miał charakter wybitnie wschodni, była w tych miasteczkach zazwyczaj jedna długa ulica z bocznymi uliczkami i budowlami soborów i pozostałościami szantanów (ognisk podkasanej muzy). Z pobytu mojego w szefostwie VI armii pozostało mi tragicomiczne wspomnienie. Szerzył się w armii tyfus plamisty. Moje badania epidemiologiczne wykazały, że źródłem zakażenia są głównie połowe placówki sanitarne. Stwierdziłem brud i niechlujstwo nie tylko wśród sanitariuszy i pomocniczej służby lekarskiej, ale nawet wśród samych lekarzy. Niechlujstwo i zawsznienie stwierdziłem także na łóżkach polowych (barłogi). Wydałem tedy rozkaz, że rekonwalescenci po tyfusie plamistym pośród służby sanitarnej zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej po wyzdrowieniu. Niedługo po tym zgłosił się do biura z frontu chirurg lwowski dr Walichiewicz, który witając się ze mną, nawiązał do mojego rozkazu w sprawie tyfusu plamistego i oświadczył mi, że wiadomo mu, że w szefostwie jest sporo idiotów, ale który z nich wymyślił rozkaz karania służby sanitarnej po przebytych tyfusie plamistym, tego nie wie. Oświadczyłem mu, że tym idiotą jestem właśnie ja sam i uzasadniłem to epidemiologicznym stanem rzeczy, że wszelka walka z brudem i niechlujstwem placówek i personelu sanitarnego okazała się bezskuteczna i byłem zmuszony wydać taki rozkaz i będę go bronić z punktu widzenia medycyny sądowej.

Pożegnałem się z wojskiem, a pożegnanie to odbyło się w Równem, gdzie towarzyszyłem szefowi sanitarnemu Ministerstwa (gen. lekarz Zwierzchowski) i szefowi sanitarnemu frontu (gen. Trzemeskiemu). W salonce, w której przyjechaliśmy do Równego w czasie śniadania zwrócił się do mnie gen. Zwierzchowski (były lekarz gen. rosyjski): „oto wy mi się podobacie, zostacie w wojsku na stałe”, na to gen. Trzemeski oświadczył, że kapitan Mierzecki nie zostanie w wojsku, bo właśnie jest już rozkaz zwolnienia go i przydział na uni-

wersytet. Na zapytanie, dlaczego nie pozostaję w armii, oświadczyłem, że lubię wygodnie siedzieć, a gen. Zwierzchowski, pan bardzo zażywny, rozsiadł się wygodnie w fotelu wagonu i powiedział: „patrzcie jak wygodnie siedzę”. Odpowiedziałem, że nie wiem, czy czwarta noga fotela nie jest podpiłowana. Gdy wyszedłem z przedziału, przystąpił do mnie jego adiutant, a mój kolega dr Bałaban i zapytał skąd wiem o zwolnieniu gen. Zwierzchowskiego ze stanowiska. Stanowisko jego obejmuje gen. Kofłataj o czym nie wie gen. Zwierzchowski i dopiero dowie się po powrocie do Warszawy. Oczywiście o dymisji generała nie miałem pojęcia, była to z mojej strony tylko żartobliwa uwaga. I tak zakończyła się moja służba wojskowa w I wojnie światowej.



Henryk Mierzecki uczeń ostatniej klasy VIII gimnazjum we Lwowie, 1911 r.



Henryk Mierzecki student II roku medycyny z narzeczoną Janiną Felsztyn. Lwów 1913 r.



Henryk Mierzecki jako medyk sanitarny z narzeczoną. Zakopane listopad 1914 r.

Henryk Mierzecki po ślubie. Wiedeń,
grudzień 1917 r.



Po dyplomie. Lwów 1919 r.